

## Ksiądz pyta: Masz czas?



■ Bożena Aksamit 2008-09-22, ostatnia aktualizacja 2008-09-22 11:50:17.0

**Praca w hospicjum może nauczyć na nowo odczuwać emocje, nie wstydzić się okazywania smutku, strachu. Wolontariusze uczą się odpowiedzialności, bo wykonują zadania, od których zależy zdrowie i życie ludzi**

- To już koniec, nic z tego nie będzie - lekarz obraca się i mówi głośno do pielęgniarki - za godzinę mamy finał. Zawołajcie księdza

- Robić to co zwykle? - pyta siostra i zaczyna otaczać łóżko parawanami.

Stary mężczyzna ma szeroko otwarte usta. Cichutko jęczy jakieś niezrozumiałe słowa.

W niewielkiej sali leżą jeszcze dwie osoby. Odwrócone twarzami do ściany pociągniętej olejną, zieloną lamperią, starają się nic nie słyszeć i nie widzieć. Milczą, z oczami utkwionymi w kolorowe gazety.

Wchodzi ksiądz. Szybko poprawia seledynową stulę, gładzi białą komżę haftowaną w kaszubskie kwiaty i sięga do kieszeni po złote pudełeczko.

- Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystus - podchodzi do łóżka - Przyszedłem do pana udzielić namaszczenia.

Pochyla się nad staruszką, dotyka czoła i rąk. Odmawia modlitwę. Lekarz i pielęgniarki, którzy usunęli się w kąt - głośno rozmawiają.

- Proszę państwa - szepcze ksiądz - On umiera.

Kapłan patrzy im spokojnie w oczy.

- Powierzcie mu swoje bóle. Zaniesie je prosto do pana Boga.

W sali robi się cicho. Przez otwarte okno słychać wieczorną bryzę i mewy.

Pierwsza pochyla się tęga pielęgniarka.

- Zdradza mnie mąż - szepcze - Tak mi ciężko. Nie wiem co robić.

Podchodzą kolejne osoby.

Ksiądz - wysoki brunet w okularach - stoi z boku i modli się. Zostanie z chorym do końca.

Nazywa się Jan Kaczkowski od pięciu lat jest kapłanem w puckim szpitalu.

Czekając na Jacka i Piotra

Osiem godzin wcześniej siedzę z księdzem na skwerku wśród pożółkłej trawy i kęp amarantowych mieczyków. Z prawej, zza wielkich liści kasztanowców przebija Małe Morze (tak miejscowi nazywają Zatokę Pucką), przed nami, prawie na wyciągnięcie ręki stoi XIV wieczna, gotycka fara. Ceglana budowla góruje nad rybackimi domkami, portem i Zatoką. Jesteśmy w sercu nadmorskich Kaszub.

Wszystkie ławki na skwerku są zajęte. Wygrzewający się na słońcu chorzy nerwowo odganiają osy atakujące torby z jedzeniem, które przynieśli krewni.

Zrywam się, gdy podjeżdża granatowy bus.

- To nie nasz - uspokaja mnie ksiądz.

Rzeczywiście, kierowca wyciąga z auta metalowe pojemniki z obiadem. Park pustoszeje - za chwilę w szpitalu podadzą obiad.

Czekamy na Piotra i Jacka. Obiecali, że pomogą zawieść do Władysława specjalistyczne łóżko. Tam w szarym bloku, przy torach, mieszka pani Jadwiga. Nie wstaje z kanapy od roku. Od pięciu choruje na raka. Odleżyny boją ją tak samo jak nowotwór, który zaatakował kilka narządów.

- Jeszcze chwilę musimy poczekać - tłumaczy spóźnialskich ksiądz - Latem ostro pracują. Może stąd, u niektórych bierze się ten brak ambicji. Po prostu, ze zmęczenia. Cały czas kombinują, jakby tu zdobyć parę groszy.

Chłopców poznał w szkole. Piotrek zaprzyjaźnił się z księdzem, gdy nie radził sobie z narkotykami. Jacka Kaczkowski wyciągnął z aresztu. Chłopak siedział, bo został dwukrotnie złapany z towarem.

Jan Kaczkowski nigdy nie trafiłby jako katecheta do zawodówki, gdyby nie rozmowa z Jezuitą. Spotkał go podczas szkolnej wycieczki w Toruniu. Wtedy zdecydował, że chce być duchownym. Ani ojciec - inżynier i działacz opozycyjny, ani mama - romanistka, pracownik Uniwersytetu Gdańskiego, nie spodziewali się, że najmłodszy syn wybierze taką drogę. Chłopcy z dobrych inteligentnych rodzin z Sopotu robią kariery gdzie indziej.

Przydził do parafii pod wezwaniem Piotra i Pawła Jan dostał zaraz po święceniach w gdańskim seminarium. Ma sporą wadę wzroku, więc biskup zdecydował, że najlepiej odnajdzie się wśród chorych w szpitalu i pensjonariuszy Domu Pomocy Społecznej. Po dwóch latach ksiądz zaczął jednak uczyć w puckich liceach, potem założył domowe hospicjum. Rok temu rozpoczął budowę stacjonarnego i obronił doktorat z teologii moralnej. Ma 31 lat.

### **Piotrek: Bardziej jak przyjaciel, nie jak ksiądz**

Piotrek przyjeżdża na rowerze. Szczupły, opalony szatyn. Szybko mówi, szybko myśli i żartuje z wszystkich i wszystkiego. Czasami niewybrednie. W tym roku zdał maturę - od miesiąca pracuje na budowie, zarabia stówę dziennie. Zbiera na laptopa.

Z księdzem witają się serdecznym uściskiem i Kaczkowski biegnie do szpitala - dostał sms-a od pielęgniarki - czegoś od niego chcą.

- On to mnie rozumie - Piotrek zaczyna od razu - Cenię go, a nawet mogę powiedzieć, że traktuję jak ojca. Mój jest alkoholikiem i nigdy nie poznałem, co to znaczy normalny ojciec.

Rok temu tata Piotra, podczas pijackiej awantury rzucił się na niego z nożem i przeciął mu żyłę udową. Syn o mało co nie wykrwawił się. Gdy wyzdrowiał zażądał, aby ojciec poszedł na detoks. Jeśli nie o wszystkim dowie się prokurator. No i stary ze strachu trochę przetrzeźwiał.

- Miałem cholerny problem z dragami - opowiada bez skrępowania - Wszystko żarłem. Piguły i białe. Byłem już uzależniony. Co dwa dni - najpierw piwko, a potem ściecha białego, a zioło to paliłem codziennie. Gdybym nie spotkał księdza byłoby ciężko. Bo nieraz miałem takie myśli porypane, wtedy dzwoniłem do niego i gadaliśmy, albo zabierał mnie do chorych. Od kilku miesięcy już nie biorę, nie palę, czasami piwko wypiję.

- Jak go poznałeś?

- Uczył mnie religii, a potem zacząłem chodzić do niego do spowiedzi. I się zaczęło. U innych, to była standardowa gadka: "Więcej tego chłopcze nie rób, zmów dziesięć różańców i Bóg ci pomoże" U niego nie: "Co paliłeś, ile razy paliłeś?" No takie pytania, z kosmosu. "Co ci to daje? Co czujesz jak się spalisz?" itp. To nie jest ksiądz schematyczny. On ze mną rozmawia, nie dąsa się, nie obraża. On wie, że ja Boga nie zostawię. Jest bardziej jak przyjaciel, nie jak ksiądz.

Kaczkowski wraca ze szpitala.

- Piotrek obejrzałeś "Wszyscy jesteśmy Chrystusami" Koterskiego?

- Pewnie. Fajny. Dałem ojcu.

- I co? - pytamy jednocześnie.

- Powiedział mi, że świetny i czy mam podobne. Wkurzyło mnie to i wrzasnąłem, że nie ma się dobrze bawić, tylko zrozumieć, dlaczego syn nosi koronę cierniową. To zaczął się przypuycowywać. Pyta się mnie, czy chcę paróweczki na śniadanie, czy ziemniaczki mi utłuc. I tak nic mu nie pomoże! Nie wybaczę mu tego, co nam zrobił.

- Jest Jacek! Wsiadamy - woła ksiądz.

Pod szpital podjeżdża granatowy bus z logo hospicjum.

- Witam - uśmiecha się przystojny blondyn ze starannie wystrzyżonymi włosami - I przepraszam - uśmiecha się czarująco - Ledwo co wyrwałem się ze sklepu.

Jacek pracuje w magazynie budowlanym. Sprzedaje farby. W tym roku zaczyna studia - zaoczne prawo na Uniwersytecie Gdańskim.

### **Jacek: Był takim oparciem, że masakra**

Na początku inteligentny łobuz rozwaliał lekcje religii. Nakręcał kumpli, żeby żartowali z młodego klechy. W końcu Kaczkowski nie wytrzymał oznak lekceważenia i krzyknął, żeby wsadzili mu kibel na głowę, to może im ulży. Nie wsadzili, ale gdy wytykał kilku uczniom, że są w szkole naćpani, zaczęła się wojna.

Skończyła, gdy poszedł odwiedzić Jacka w areszcie. Chłopak trafił tam, gdy po niezdanej maturze przez trzy miesiące był w ciągu - brał wszystko: trawę, ekstazy, amfę i koks. Policja dwa razy złapała go z towarem.

- To był inny człowiek, przerażony, zagubiony, samotny - wspomina ksiądz - Wiedziałem, że to jest ten moment, że jeśli mu

nie pomogę, nie wyjdzie już na prostą.

Jacek był bity w czasie przesłuchań, potem od razu trafił do celi z recydywistami. Załamał się i gdyby nie ksiądz....

- Był dla mnie takim oparciem, że to masakra. Bo w domu tak nie było. Ociec cały czas był nadzany, gadać mogłem tylko z matką, ale ile można rozmawiać z matką?

Ksiądz kilkakrotnie odwiedził Jacka w areszcie. Po trzeciej wizycie poręczył za niego, a gdy chłopak przekroczył próg wejherowskiego więzienia wysłał do księdza sms-a: "U mnie wszystko ok. W końcu koniec zmartwień i można powiedzieć, że zaczynam nowe życie, za które chciałbym księdzu podziękować. Bardzo tęsknię za naszymi rozmowami... Te słowa nie były puste....Ksiądz jest moim drugim ojcem."

Jacek od dwóch lat jest czysty, nie bierze narkotyków, nie pije - dużo pracuje, ma dziewczynę, ciągle pomaga księdzu w hospicjum jako kierowca i wolontariusz medyczny.

### **Ksiądz: Wystarczy przy nich być**

Jacek z Piotrkim znikają w magazynie, żeby załadować łóżko.

- Jak ksiądz ich namawia, żeby jeździli do chorych?

- W ogóle ich nie namawiam, dzwonię i mówię: "Masz czas? Trzeba to i to".

- Wystarczy?

- Trochę o nich powalczyłem - ksiądz uśmiecha się - Spotykamy się regularnie, czasami idziemy razem coś zjeść, dużo rozmawiamy. Poza tym widzimy się w kościele: na mszach, podczas spowiedzi. Kaszubi są bardzo religijni, dla nich duchowny jest dużym autorytetem. Wystarczy tego nie marnować.

- W hospicjum pracuje tylko młodzież z "przeszłością"?

- Nie. "Normalnych" jest większość, ale ci naznaczeni trudnymi doświadczeniami są mi szczególnie bliscy i ważni. Nie traktuje ich jak produkt - "przepuścić" przez wolontariat i do domu. Twardzi i niedostępni na zewnątrz, tak naprawdę mają problem z okazywaniem uczuć, boją się zranienia. Muszą dostarczać sobie coraz silniejszych wrażeń - po to, by nie kontaktować się z własną potrzebą bliskości i bezpieczeństwa, która nie może być zrealizowana przez dysfunkcyjne rodziny, obojętną szkołę czy zagubionych przyjaciół. Narkotyki i alkohol wypełniają tę emocjonalną pustkę.

- Kontakt z umieraniem jest takim kontruderzeniem?

- Trochę tak, ale te dzieciaki sporo już widziały we własnym życiu. To nie są delikatesiki z dobrych liceów, to są łobuzy z "zawodówek", którzy pracują zarobkowo, piją i palą trawę już w wieku 14 lat. Nie daje sobie z nimi rady szkoła, zaniedbują rodzice - bo piją, kłócą się, bo zarabiają na siedmiu etatach, a oni czują się bardzo samotni i pogubieni

- Są skazani na trudne i bolesne życie, na alkohol, narkotyki, przemoc?

- Wierzę, że nie. Praca w hospicjum może nauczyć ich na nowo odczuwać emocje, nie wstydzić się okazywania smutku, strachu. Do tego mają tu kontakt z "innymi" dorosłymi niż dotychczas. Są częścią zespołu i wykonują konkretne zadania, od których zależy zdrowie i życie ludzi. Uczą się odpowiedzialności.

- Jak zrobić żeby im się chciało?

- Wystarczy przy nich być. Szczególnie jak się, kiedyś komuś powiedziało, że jest ważny.

- Skąd ksiądz to wie?

- Z domu. Moi rodzice zawsze przy mnie byli. Dziś wiem jakie to było ważne. Miałem problemy ze zdrowiem i gdy w pierwszej klasie liceum postanowiłem razem z kolegami, pojechać z Sopotu na koncert do Bydgoszczy, mama oznajmiła: "dobrze, ale jadę z wami". Zaczęłem się kłócić i wyszedłem na dworzec. Mama poszła za mną, wiedziałem, że wsiądzie do wagonu. Wróciłem wściekły do domu, ale teraz rozumiem, że w ten sposób rodzice mówili mi, że jestem dla nich ważny.

### **Pani Jadwiga umrze w niedzielę**

Bus jest załadowany, można ruszać.

Jest pełnia sezonu, więc trasę Puck - Władysławowo zamiast 15 minut jedziemy godzinę. Spoceni wbijamy się na trzecie piętro jednego z bloków, jakie komunistycznym urbanistom udało się wcisnąć w centrum tego portowego miasteczka.

- Dzień Dobry, Niech będzie Pochwalony Jezus Chrystus - ksiądz otwiera drzwi i woła głośno od progu.

Razem z chłopakami siadam na kanapie w stołowym. Za nami na ścianie wiszą szable, miecze i rapiery. Pod drugą stoi meblościanka z bogato zdobionym frontem, szczelnie wypełniona różnymi encyklopediami kolekcjami książek o

złoconych grzbietach.

Ksiądz idzie do pokoju pani Jadwigi.

- Jak się pani dziś czuje, przyjechałem z chłopakami zamontować nowe łóżko.

- Teraz jak jest ten upał, to gorzej - odpowiada cicho kobieta. Uśmiecha się ciepło.

Ksiądz uważnie ogląda rozległe odleżyny. Przygląda się spierzchniętym ustom i zagląda w gardło chorej.

- Boli panią?

- Trochę bardziej.

- Poproszę naszego lekarza, żeby panią odwiedził. Powinna pani pić coś przez cały czas, drobnymi łyżkami. Wtedy leki będą lepiej działać.

- Dobrze, postaram się.

- Byliście w szpitalu w Gdańsku, są jakieś wieści - dopytuje się Kaczkowski

- Nie odezwali się do nas - odpowiada mąż pani Jadwigi - Za to wczoraj była wasza pielęgniarka. Żonie ulżyło.

- Panie Józefie, jak trzeba podeślę wam dwójkę wolontariuszy. Pomogą panu umyć żonę, teraz przy tych upałach trzeba szczególnie uważać. A jak pan wyjdzie na zakupy to posiedzą, porozmawiają z żoną. To są bardzo mili, młodzi ludzie - uczniowie liceum.

- Dobrze, zastanowię się.

W tym samym czasie Piotrek i Jacek wnoszą łóżko. Montują je w małym pokoju, z widokiem na tory i rachityczny zagajnik. Delikatnie przenoszą chorą na nowe miejsce. Po godzinie wszystko jest gotowe. Gdy Jacek poprawia stojak na kroplówkę, Piotrek głodzi pościel.

- Wyspowiadać panią - pyta Kaczkowski - Może chce pani przyjąć komunię?

- Niech ksiądz przyjedzie w niedzielę - prosi kobieta - Dzisiaj nie mam już siły.

Chłopcy jeszcze tego nie wiedzą, ale Jadwiga po niedzielnej wizycie księdza, po modlitwie, spowiedzi i komunii - umrze. Jeszcze nie wiedzą, więc żartują o szablach ze ściany w stołowym, o upałach i korkach.

### **Wystarczy poprosić**

Hospicjum im. Ojca Pio w Pucku, działa od czterech lat, ma pod opieką kilkadziesiąt osób rozsianych po całym powiecie. Mieszkają w małych rybackich chatkach, blokach i willach zbudowanych za pieniądze z letników. Umierają, tak jak Kaszubi umierali od zawsze - w otoczeniu rodziny i księdza. Jedno się zmieniło, chorych mniej boli, a bliscy nauczyli się, że można poprosić obcych o pomoc.

Za rok w Pucku zostanie otwarte hospicjum stacjonarne. Na razie do dyspozycji księdza i jego współpracowników jest pokój przy parafii, komputer i fax.

Oprócz lekarzy, pielęgniarek Janowi Kaczkowskiemu pomagają kilkadziesiąt młodych wolontariuszy. Wystarczy poprosić - nikt nie odmawia. W "wolontariacie technicznym" terminują nowi. Kilkanaście osób skończyło specjalistyczne szkolenia medyczne - jeżdżą do chorych pomagać w pielęgnacji, rozmawiać i podnosić na duchu. Kilku młodych licealistów zawiązało grupę modlitewną, jeśli rodzina wyrazi chęć, pojawiają się aby razem z bliskimi modlić się za chorego, gdy śmierć wydaje się nieuchronna.

### **Fajnie jest zrobić coś dobrego**

Zbliża się 18, ksiądz wraca do Pucka odprawić wieczorną mszę w Farze. Później pójdzie na wieczorny obchód do szpitala. Jak się okaże będzie potrzebny.

Ja zostaję we Władysławowie, żeby spotkać się z kilkunastoma wolontariuszami. Po władysławowskim sambodromie maszerują tysiące letników - na plażę i z plaży, coś zjeść, coś wypić.

W końcu znajdują moich rozmówców. Siedzą stłoczeni wokół małego stolika w pubie, żeby się usłyszeć musimy do siebie krzyczeć. Dwójka z nich sprzedaje tu rybę, frytki i piwo. Inni właśnie wracają z pracy, idą do pracy lub mają przerwę. Blondyn Murzyn jest ratownikiem, ktoś uczy windsurfingu w Chałupach, Marta pracuje w lokalnej telewizji jako spikerka, wesoly szatyn z lokami pilnuje szlabanu na modnym kempingu. Mają po 17, 18, 19 lat. Wszyscy byli lub są uczniami księdza Jana. Chętnie opowiadają o nim. Jest czadowy, inny, mądry. Gdy dopytuję się pracę w hospicjum - patrzą na mnie zdziwieni.

- Po prostu, fajnie jest zrobić coś dobrego. To nie jest chyba dziwne? - śmieją się do siebie.
- Nie zastanawiamy się nad tym specjalnie, gdy trzeba pomóc pomagamy - dodaje wesoły okularnik - Nie robimy przecież żadnych wielkich rzeczy. Niech pani nie przesadza.
- Jak dajecie radę? - patrzę na Kasię z grupy modlitewnej - Towarzyszycie umierającym ludziom, kontaktujecie się z cierpieniem ich bliskich.
- Nie boimy się - wysoka brunetka uśmiecha się delikatnie - Śmierć to nie jest koniec.

Bożena Aksamit

---

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - [www.wyborcza.pl](http://www.wyborcza.pl) © Agora SA

---